

CZŁOWIEK WĘDRUJĄCY

(problem narodzin i sensu podmiotowości turystycznej)

Podróżnik

Podróżnik, wędrowiec, pielgrzym, turysta, globtroter, wycieczkowicz, włóczęga, obieżyświat, tramp, łazęga, powsinoga, łazik i sto innych podobnych określeń. Albo piechur, wspinacz, jeździec, żeglarz, marynarz, lotnik, woźnica, maszynista, kierowca, kolarz, wrotkarz, narciarz, łyżwiarz, saneczkarz, baloniarz, pływak, nurek, kajakarz, wioślarz, motocyklista, kosmonauta. I tak dalej. Albo zdobywca, odkrywca, koczownik, wychodźca, uchodźca, uciekinier, najeźdźca, przybysz, emigrant, imigrant. Co łączy tych wszystkich ludzi i rodzaje ich specyficznego bycia w świecie?

Po pierwsze to, że znajdują się w ruchu przestrzennym. Nie są określone żadnymi stałymi parametrami, lecz ustawicznie pulsującymi zmiennymi. Istnieją realnie, to pewne, ale są nigdzie, bo są raz tu, raz tam. Normalne, naturalne bycie tu i teraz przekształca się w przemieszczanie.

Po drugie, ruch ten przekracza standardy mikro ruchliwości własnej, „wsobnej” i „wokólsobnej”, polegającej na uczestnictwie w procesach wewnętrznych życia i prostej ekspresji żywotności w najbliższym otoczeniu. Nie chodzi więc o to, by poruszać ustami, oczami i kończynami, ani też krzątać się po obejściu wokół własnej osi, albo przenosić się tam i z powrotem, z domu do pracy, ze sklepu do domu. Tamte zestawy małych ruchów, sobą wokół siebie, są niezbędną formą codzienności, to oczywiste, ale naprawdę idzie o to, aby koniecznie opuścić „tu” i przenieść się „tam”, o wiele dalej, niż się dotąd było.

Po trzecie, ruch w przestrzeni stać się musi esencjalną dominantą, przesłaniającą w wymiarze ważności wszystkie inne cechy człowieka. Wędrowiec staje się przede wszystkim kimś, kto teraz, dzisiaj, przemieszcza się, przenosi siebie w inne miejsca, przestając być tym, kto kiedyś istniał gdzieś i trwał tam w bezruchu. Staje się tym natomiast, kto przemierza świat, a więc bytem z istoty swej wędrującym, nie zaś tamtym, statycznym, osiadłym i powtarzalnym, określonym w stałych funkcjach i cechach. Podróżnik, wędrowiec czy włóczęga skupia całą swą energię życiową w podmiotowości przestrzennego ruchu i w nim się poniekąd istotowo wyczerpuje, mimo, iż przecież może być nadal ujęty, jako ktoś, kto jest, był lub był synem, bratem, kochankiem,

rzemieślnikiem, pisarzem, zwyczajnym zjadaczem chleba, a także banalnym konsumentem wyrobów danej technologii albo walorów tej czy tamtej kultury. Być może, wyruszając ongiś z Itaki, po dwudziestu latach do niej powróci jako ten sam król, mąż i ojciec.

Wskazujemy czasem wprost na sposób przenoszenia się w świecie. Możemy to czynić najbardziej naturalną metodą, czyli pieszo, marszem lub biegiem. Kiedy warunki terenowe zmuszają nas jednak do zmiany strategii, zmieniamy się w człowieka płynącego lub latającego, a przede wszystkim korzystającego z transportowej pomocy, zwierzęcej bądź technicznej. Potrafimy stosować najprostsze i najbardziej wyrafinowane metody, włącznie z posługiwaniem się wymyślnymi środkami cywilizacyjnymi (z samolotem i rakieta kosmiczną włącznie). Koncentrujemy się zwykle na samym fakcie, czyli byciu w podróży, lecz przecież wolno nam ujawnić jej dramaturgię i sens poza-behawioralny, na przykład w podrózniku widzieć, powiedzmy, ciekawskiego turystę, albo też odkrywcę nowych lądów lub wylęknionego zbiega, uciekającego przed rzeczywistością bądź wyimaginowaną pogonią. Posługujemy się w tych przypadkach nawet nieco innym językiem, gdy trzeba, zabarwionym emocjonalną dosadnością. Znika wtedy neutralny „wędrowiec”, „podróżny” czy „turysta”, pojawiają się zaś w to miejsce określenia oddające precyzyjniej specyficzne „jak” poruszającego się podmiotu, albo jego „po co”, „w jakim celu”, albo „z jakiej to przyczyny” odbywa się dany ruch przestrzenny.

Każdy jest podróżnikiem, kto podróżuje, wędrowcem ten kto wędruje, turystą lub włóczęgą taki, co właśnie teraz lub na ogół w życiu oddaje się tym czynnościom właśnie. Nie wszystkie fenomeny życia ruchliwego oddają, co prawda, w równym stopniu istotę wędrowki, lecz gdziekolwiek i w jakiegokolwiek formie się pojawiają, muszą być odnotowane z identyczną uwagą i powagą. Liczy się bowiem fundamentalny akt samej przestrzennej mobilności oraz, co równie istotne, moment samodzielności podmiotowej. Jeśli wędruję, to musi przecież koniecznie istnieć „ja wędrujące” To ostatnie zaś, czyli bycie podmiotem wędrującym, wędrowcem, podróżnikiem, dokonuje się poprzez czynność rzeczywistego przemieszczania się w świecie.

W czasie i w przestrzeni

Pokonywanie przestrzeni stanowi *modus existentiae*, przesłaniający pozostałe właściwości podmiotu ludzkiego, które znikają na czas podróży w ogóle lub schodzą na daleki, niewidoczny plan. Wyraźnie to widać w przypadkach ekstremalnych. Czyż pytamy o profesję, stan konta, poglądy bądź życiorys emocjonalny kogoś, kto znajduje się w drodze na trudny szczyt, albo przemierza dżunglę Amazonii, albo dryfuje w samotniczym jachtingu? Wędrowcy nieprzypadkowo zrzucają, a czynią to dość łatwo i spontanicznie, zarówno z innych, jak i z siebie garnitury ról spełnianych poza wędrowaniem.

Spotkanie na szlaku, w stancy, w porcie, na campingu pozwala na zupełnie inne zrozumienie człowieka, niż dzieje się to poza wędrówką, w statycznym, umiejscowionym, zdefiniowanym jego ujęciu.

Całkowicie naturalne, bo konieczne i bezwyjątkowe zda się poddanie czasowi. Niejeden myśliciel i artysta przyrównywał życie do wędrówki w czasie, od narodzin po śmierć, chwila po chwili, godzina po godzinie, dzień za dniem, rok za rokiem, po dzieciństwie młodość, potem dojrzałość, później starość, aż po sam kres. Niezmienne w swej tożsamości Ja porusza się ze swobodą przymusu po wydarzeniach procesu istnienia niczym po długim, bezkresnym, bez żadnych przystanków emitowanym programie telewizyjnym, dzień i noc, dzień i noc, bez przerwy. Nie musimy opuszczać swego miejsca przyrodzonego, naznaczonego piętnem losowego nadania, aby przeżyć tę podróż po kolejnych zdarzeniach, wypełnionych naszymi własnymi przeżyciami, przeżywaniem cudzych przeżyć, przeżywaniem tego co było, a nie jest, a co być by mogło, a jest tylko kulturowym fantomem.

Podróż w czasie i tylko w czasie, zakłada wszelako jakieś radykalne, całkowite i nieprzerwane unieruchomienie podmiotu, który tym samym zostaje poddany przygodzie czasem ciekawej, niekiedy zaś nudnej, zawsze jednak narzuconej skądś z góry (przez bogów, naturę, los?). Czasu nie można zatrzymać, oszukać, obejść się bez niego, ale on się wszystkim odpłaca trwaniem, a więc rozciągłością, która dla nas oznacza stałe przechodzenie od chwili do chwili, bez zatrzymywania się przy jednych, opuszczania innych, wciąż naprzód, nieprzerwanie i wytrwale, z nurtem heraklitejskiej rzeki, bez powtórek, ale za to z gwarancją przejścia do następnych obrazów.

Musimy poddać się nieubłaganej woli czasu, ale on w zamian odpłaca nam bogactwem rytmów przemian życiowych. Istniejąc w czasie stajemy się tym samym wyróżnionymi uczestnikami ruchu przekształceń bytu. Mniejsza z tym, że dla nas osobiście sam koniec wędrówki nie wydaje się zbyt atrakcyjny, bo stanowi wysoce prawdopodobne wkroczenie w nicość. Dlatego to optymiści wszelkich odmian pocieszają się małodusznie, iż ów koniec może oznaczać nawet następny początek i zapowiedź nowej przygody, zaś egzystencjalnie nastawieni pesymiści wieszczą przytomnie, że start do kolejnej pielgrzymki może okazać się źródłem lęków o jeszcze większym stopniu intensywności. Wyrwać się z władztwa czasu, to wszak tyle, co w ogóle przerwać istnienie. Skoro zaś nie ma lepszego wyjścia, a kompromisu oczekiwać nie sposób, rozsądniej zatem będzie pogodzić się z losem i bez szemrania odbyć przypisaną wędrówkę wzdłuż własnego życia. Czas okazuje się tedy terenem najtwardszej z możliwych konieczności. Przykrej, zapewne, dla jednych, miłej dla innych, lecz jednako mocnej i nieprzeniknionej dla każdego, bez szans na negocjacje.

Inaczej jest z przestrzenią. Nie chodzi o jej wymiar złożoności punktowej, bo to jasne, że każdy z nas musi zawsze być gdzieś, i w każdej chwili w ja-

kimś miejscu wczepić się w bezmiar kosmosu. Czy tak samo, jak będąc bytem w czasie, w każdym „teraz” przechodzi się przez czasopunktowe momenty (szybko je wszakże puszczając, dążąc do następnych)? Odpowiedź jest negatywna. Rzecz w tym, iż jeśli złożoność czasu przeżywamy bezpośrednio naszym własnym, niewątpliwie procesualnym istnieniem, to nie możemy, mimo starań, znaleźć żadnej, analogicznej zasady wobec przestrzenności świata i automatycznie przenosić się z miejsca na miejsce, liniowo lub skokowo, do rozmaitych zakątków trójwymiarowej rzeczywistości.

Przestrzeń tego sama z siebie niczego od nas nie żąda i nie narzuca nam wcale swego ładu, porządkującego nasz ludzki byt. Jej wystarczy, można by rzec, iż umieszcza nas w sobie, w swym przestronnym interiorze, znajdując zawsze jakiś dowolny fragment, który przeznaczona dla wybranej, pojedynczej substancji, jako jej przypisane „miejsce na ziemi” Miejsce to jest *nota bene* gwarancją istnienia w ogóle, które musi być wszak koniecznie wbudowane zarówno w dane „kiedyś” w czasie, jak i w dane „gdzieś” w przestrzeni. Zatrzymujemy się tedy w ramach owej odgórnego niezbędności w jakimś „gdzieś”, czyli w konkretnym „tutaj” Co ważniejsze, wcale nie odczuwamy przy tym przemożnej presji uprzedmiotowienia i bierności bycia, występując w charakterze obiektów wciąż przesuwanych od jednego do drugiego punktu (tak jak to być musi w trwaniu czasowym). Wystarczy, że jesteśmy w określonym czasie „tutaj oto”, a możemy uniknąć ontologicznego przymusu zajmowania kolejnych, coraz to innych obszarów otoczenia, jak się zdaje, przepastnego, nie do ogarnięcia, nie do zrozumienia.

Bycie jest byciem „tutaj”, a to oznacza, rzecz jasna, niemożność równoczesnego istnienia gdziekolwiek indziej. Ta ontologiczna zasada niesprzeczności lokalizacyjnej wymusza zaś pojawienie się swoistego prawa inercji przestrzennej, które z pewnym uproszczeniem można sformułować następująco: jeśli jesteś tutaj, to na pewno lub prawdopodobnie tutaj pozostaniesz (może nawet na zawsze).

Ale czy na pewno? Przestrzeń jest ogromem możliwości i szans, choć także barier i przeszkód nie do przebycia. Muszę poruszać się w czasie, wraz z całym, a przynajmniej z lokalnym, bliskim mi światem. W przestrzeni poruszać się tylko mogę, oczywiście pod warunkiem, że w taką podróż zdecyduję się wyruszyć, ani nie przeciwdziałam sile, która niezależnie od mej woli poprowadziłaby mnie w inne rejony. Po wtóre, odbędę wędrowkę wtedy i tylko wtedy, kiedy będę dysponował odpowiednimi siłami własnymi, lub środkami transportu. Po trzecie, gdy nie pojawią się na mej drodze zapory, obiektywnie uniemożliwiające podróż. Po czwarte, gdy nie zabraknie mi nigdy ochoty na dalsze wędrowanie w żadnej fazie drogi, dopóty, dopóki nie zostanie osiągnięty postawiony cel.

Inicjacja

Wykluczyć trzeba tutaj w ogóle sytuacje przenosin przymusowych. Na przykład dziecka, chorego lub osoby nieprzytomnej, niesionych albo wiezionych przez innych ludzi. Także konwojowanego więźnia, jeńca, czy zakładnika. I wojownika, żołnierza oraz policjanta wykonującego rozkazy. Podobnie pracownika, wysłanego przez zwierzchność w podróż służbową. Na pograniczu postawić też trzeba efekty przymusu egzystencjalnego, determinującego wyprawę za pożywieniem i ucieczkę przed zagrożeniem życia, oraz wszystkie inne przypadki, gdzie mamy do czynienia, co prawda, z namiastką swobody decyzji (bo przecież zawsze można się potulnie poddać presji okoliczności), ale przesłoniętą wyraźnym naciskiem na wywołanie instynktownych odruchów.

Odrzucamy tedy z góry sytuację podróży czysto przedmiotowej, gdzie od początku do końca człowiek znajduje się w sytuacji pasywnego obiektu, przenoszonego w przestrzeni, nie zaś aktywnego, względnie swobodnego podmiotu wędrowki. Jeśli poruszamy się, wraz z Ziemią-Matką, ruchem okrężnym wokół Słońca, nie nazwiemy jednak tego nigdy „turystyką orbitalną”, a samych siebie „zdobywcami Kosmosu”. Ruchy układu słonecznego względem innych gwiazdnych systemów w Galaktyce, także nie czynią nas bohaterami wędrowek po Wszechświecie. W każdym takim przypadku jesteśmy w najlepszym razie biernymi pasażerami naturalnych „wehikułów przestrzeni” i niczym ponadto.

Nie da się natomiast tego samego powiedzieć o mniej spektakularnych wyczynach, lecz za to w pełni samodzielnych – w zamiarze, kierunku i napędzie. Dotyczy to spaceru do pobliskiego lasu, kajakowego spływu, czy rowerowej eskapady za miasto. Ten ruch w przestrzeni, który jest przeze mnie wywołany, napędzany, sterowany i kontrolowany, staje się bowiem, ni mniej ni więcej, akcją ściśle podmiotową. Mimo, iż czasem zda się działaniem o wiele skromniejszym w wymiarach bezwzględnych, okazuje się niebywale potężniejszym w parametrach względnych, a mianowicie w bezpośrednim zaangażowaniu podmiotowej energii ludzkiej.

Wędrowka, jak każda czynność, każda akcja i każda myśl, musi mieć więc wyraźnie określony podmiot. Nie może być zatem ani niczyja, ani niepewna w swej źródłowości, ani upozorowana w tym względzie, ani tym bardziej przeniesiona z innego podmiotu na podmiot zastępczy, występujący w roli pośrednika lub quasi-podmiotowej atrapy. Jeśli jest wędrowka, musi pojawić się jasno określony, precyzyjnie wskazany, ten oto wędrowiec (podróżnik, turysta). Staje się on podmiotem podróży w tym samym momencie, w którym on sam inicjuje wędrowkę. Właśnie ona, a nie co innego, czyni go bowiem bytem podróżującym. Sama zaś podróż wskazuje nań, niejako w rewanżu, jako podmiot podróży, czyli wędrowca.

Wędrówka zaczyna się aktem decyzji wyruszenia, ale znacznie wcześniej odbywa się misterium przygotowania do podróży. Hasło „ruszamy” poprzedzone jest zawsze krótszym lub dłuższym czasowo, niekiedy zaś bardzo długim procesem dojrzewania do wędrówki, poprzez kumulację przyczyn, koncentracje motywów i zajęcie ostatecznego, a zdecydowanego stanowiska. Rzecz w tym, iż decyzja w sprawie wędrówki nie bierze się znikąd, lecz ma swoją własną konstrukcję ontologiczną, sięgającą zarówno do pozytywnych impulsów (przyczyn bezpośrednich), jak i uprzednio rozpoznanych, negatywnych warunków przedpodróżnych miejsca, które mamy opuścić, potem jakości i intensywności potrzeb podmiotowych, wreszcie wyznaczonych przez świadomość celów oraz wykonywanych, możliwych do zastosowania środków. Rzecz w tym, iż zanim ruszę rzeczywiście, przeprowadzić muszę w świadomości intencjonalizację programu wyruszenia, niekiedy zaś zarys dalszej trasy, a nawet wizję mety. W niektórych, mianowicie docelowo określonych wyprawach ten ostatni moment zyskuje na wyrazistości i prymacie aksjologicznym. Wiemy na przykład, że mamy zdobyć Mont Everest akurat, opłynąć kontynent Afryki, albo dostać się na biegun północny, toteż dany obraz finalnego punktu określa nam tedy nie tylko postanowienie startu, ale i ogół szczegółowych planów co do przebiegu szlaku, wyposażenia i towarzystwa.

Decyzja o wyruszeniu w podróż jest równoznaczna z przekreśleniem możliwości i chęci pozostania na dotychczasowym miejscu, przynajmniej przez pewien czas. Pozytywny, kierunkowy ruch wędrowniczy oznacza tedy negację dalszego pobytu w dotychczasowej pozycji w świecie. Jest to niezwykle istotny moment całego przedsięwzięcia: aby być gdzieś indziej i dalej, musi się nie być tutaj, gdzie się jest i co określa podmiot przed aktem wyruszenia w drogę.

Możliwe są zaś dwa główne motywy tego nastawienia. Jeden wyznaczony jest przez sytuację poszukiwania doskonalszych wartości – w stosunku do danych w repertuarze aktualnych szans. Wędrówka jako zmiana miejsca doboru przeżyć jest pod jakimś lub pod każdym względem lepsza od dalszego uczestnictwa w wartościach *status quo*, niezależnie nawet od najbardziej przychylniej oceny aktualnego pobytu. Żegnając się z najbliższymi, których kochamy, z ulubionymi sprzętami domowymi oraz warsztatem pracy, tudzież przyjaźnie na ogół tolerowanymi widokami z okna, dajemy wszelako sygnał, iż to, co uzyskamy podczas wyprawy, wyposażone będzie w jeszcze wyższe wartości, nieosiągalne z pozycji bezruchu przestrzennego.

Drugi możliwy motyw związany jest z szansą opuszczenia pozycji jawnie nam nie sprzyjającej, groźnej, destruktywnej, przykrej lub niebezpiecznej. Chodzi zatem o odwrót, a nawet o ucieczkę od wartości niższych, kiedy okazuje się, że pozostanie na miejscu jest tak czy inaczej gorsze od ruszenia w drogę, niezależnie od niepewności co do istoty walorów spodziewanych

lub przeczuwanych przygód w podróży. Wyruszamy w drogę, kiedy mamy przekonanie, iż pozostanie na miejscu nie pozostawia nadziei na dostęp do wartości lepszych, niż te, które nam ciążyą i zagrażają w sytuacji dalszej rezygnacji.

Choć wydaje się nieraz, iż obydwie motywacje są własnymi odwrotnościami, uzupełniając się wzajemnie, to każda z osobna dotyka w gruncie rzeczy jakiejś innej, a swoistej strony wartościowania podróżniczego. Pierwsza eksponuje siłę atrakcji przyszłych turystycznych osiągnięć oraz rangę możliwych do zdobycia celów. Jej przewodnią kanwą są zalety wędrowania. Druga wskazuje na trudne do zniesienia braki w aktualnej sytuacji, względem których opuszczenie tego, co się ma nie grozi żadną stratą, zaleca się natomiast obietnicą jakiegoś zysku, w najgorszym razie ryzykiem zmiany na coś podobnego, ale nie gorszego właśnie. Tutaj skupiamy uwagę na trudnych do zniesienia wadach powstrzymania się od wyruszenia w drogę.

Pytanie „wyruszyć” czy „nie wyruszyć” może być ponadto sprowadzone do głębszych i najgłębszych pokładów ludzkiej osobowości, kiedy się weźmie pod uwagę hipotezę naturalnej mobilności człowieka, przeciwstawioną równie racjonalnemu przypuszczeniu, iż jesteśmy w gruncie rzeczy gatunkiem osiadłym, poszukującym za wszelką cenę warunków do pełnej stabilizacji bytowej, ostatecznie zaś bez ruchu totalnego jako rozwiązania kwestii gatunkowej *entelechii* (czyli formy pełnej samorealizacji). Spór o istotę człowieka sięga zatem konfliktu między Parmenidesem a Heraklitem, a więc rozstrzygnięcia kwestii, czy byt jest lub poszukuje nieruchomej, trwałej jedności, czy też spełnia się w procesach twórczego ruchu. Ten trzeci rodzaj motywacji odwołuje się już nie tyle do aksjologicznej oferty, ale zapotrzebowania, zgłaszanego przez esencjalne wyposażenie bytu ludzkiego.

Akt zgody na start do wyprawy zdaje się sytuować podmiot wśród zwolenników mędrca z Efezu, głoszącego, iż nic dobrego, albo w ogóle nic dobrego, nie może wynikać z wchodzenia wciąż do tej samej rzeki, paradoksalnie nie zabraniającego wszak poszukania rzeki całkiem innej. A więc nie dlatego stajemy się wędrowcami, bo pcha nas do tego akt transcendentnego wytrącenia z przyrodzonej, stałej właściwości bycia, za jakie uchodzi zawsze dane, statyczne, miejscowe, punktowe wkorzenie. Przeciwnie. Dzieje się tak z tego powodu, iż naszą istotę konstytuuje swoisty, pierwotny pęd ku czemuś innemu, dynamika lokalizacyjna, dążenie do zmiany pozycji w świecie. Ta wędrownicza *elan vital* kreuje tedy siłę, impet, materię, treść i jakościowe wyposażenie koniecznego ruchu w przestrzeni, zarazem poszukując jednak zawsze ontologicznego pretekstu dla siebie w postaci wyboru odpowiedniej formy podróżniczej akcji, a także jej aksjologicznej obudowy. Można by rzec z pewnym uproszczeniem, iż każdy człowiek tak czy inaczej pragnie ruszyć w świat, i musi to uczynić ze swej istoty, lecz opuszczając swe dotychczasowe pielesze, potrzebuje zazwyczaj specjalnego usprawiedliwienia, a nawet

literackiej oprawy działania przy pomocy zestawu wędrowniczych wartości i sensów.

Wyruszamy więc wtedy z powodu znużenia wartościami, które już znamy i niedosytu wobec tych, których nie zdołaliśmy dotąd poznać. Przede wszystkim jednak dlatego, że ruszając dalej, niż jesteśmy, tu i teraz, spełniamy jakąś pierwotną misję wędrowniczą, wyrażoną nie tyle istotowym przymusem, ile istotową możliwością. Słowem: wyprawiamy się wtedy, kiedy chcemy, a nic nas nie potrafi powstrzymać

Wyzwanie aksjofery

Dobrze jest być tu, gdzie się jest, przeżyć, poczuć, posmakować, poznać, wchłonąć, objąć i uczynić ten kawałek świata poddanym, własnym, udomowionym. Ów własny wycinek świata, z którym jesteśmy i czujemy się związani, zrośnięci i utożsamieni, nie jest jednak całym światem. Nie jest nawet fragmentem sumy wszystkich części i aspektów rzeczywistości, ale bytem wyłącznie ułamkowym. Nie jest jej reprezentantem, lecz tylko niewielkim, ograniczonym elementem, stroną, zestawem cech miejscowych, wybranych spośród wielu, na pewno zaś ani powszechnych, powtarzalnych, ani swoistych dla każdej jakościowej odmiany wielostronnego obrazu. Bycie tutaj, odnosi się więc jedynie do cech tego niewielkiego, ograniczonego „tutaj” właśnie, z zakryciem i odrzuceniem zaś nieobecnego tu wszelkiego „tam”, z jego ogromem nieznanym, a przeróżnym właściwości.

Koncentracja na wymyku świata oznacza nie tylko jego przejęcie i budowanie kompozycji współistnienia. Jest to zarazem rezygnacja z poznawczego i aktywnego ogarnięcia sobą całej odrzuconej reszty, zamknięcie się na nią, wyłączenie własnej podmiotowości z przeżywania wartości, które zostają postawione poza zasięgiem mojej ciekawości, podziwu i troski. Gdzieś są, ale daleko stąd, poza mną. Owszem, zapewne istnieją w sobie, ale nie mogą przecież stać się bytem dla mnie.

Strukturę aksjofery przenika tymczasem, wciąż i zawsze, czasoprzestrzenny wymiar nośników wartości, które muszą egzystować „gdzieś” i „kiedyś”, a nie mogą być „nigdy” i „nigdzie”. Nie jesteśmy w stanie w żadnym razie dotrzeć do tego, co znajduje się poza zakresem naszego trwania w czasie, karmiąc się zastępczo ewentualnymi śladami pamięci oraz projekcją marzeń i przypuszczeń przyszłościowych. Nie dotyczy to wszelako utrudnień przestrzennych, które stawiają przed nami wysokie bariery, lecz przecież ostatecznie możliwe do przekroczenia, jeśli się postarać. Wystarczy przełamać determinację parametrycznie lokalnego „wrzucenia w byt” i wołą zawładnięcia pozostałych, dotąd obcych i nieznanym jego obszarów zwrócić się odważnie ku innym, nie przyznanym nam punktom w strukturze świata. Kiedy ruszymy się stąd, by znaleźć się tam, wtedy nasze kolejne miejsca przyznajemy sobie

sami, a z nowych stanowisk obserwacyjnych i nieznanych przedtem układów odniesienia możemy odkrywać inne, nowe tereny aksjofery.

Podmiot dotąd biernej recepcji wartości, w najlepszym razie skłonny tylko do ograniczonego wyboru między walorami narzuconej przez czasoprzestrzeń oferty, przekształca się nagłym skokiem jakościowym w podmiot poszukiwania wartości. Nie wystarcza nam już przesuwanie się czystą myślą po poddanej nam linii czasu, kierując się dość swobodnie ku dowolnym punktom przeszłości, terażniejszości lub przyszłości, w nas samych utwierdzonej. Mamy však pamięć, mamy przytomność chwili i mamy wyobraźnię, toteż tak hojnie wyposażeni w wewnętrzny sprzęt podróźniczy, odbywamy czasem quasi-wędrówki po swoim i cudzym życiu, oczywiście intencjonalnym zaledwie, w głąb siebie i wszcz siebie, jak najdalej. Dokonujemy tych wyimaginowanych przemieszczeń na jawie i we śnie, a w zasadzie bez ograniczeń, jeśli nie brać pod uwagę gatunkowych, kulturowych i indywidualnych warunkowań i limitowanych zdolności poznawczych. Jeśli pragniemy jednak dotrzeć do wartości ufundowanych na realnych nośnikach, innych, niż nasze pojedyncze mózgi, musimy porzucić penetrację czasu, a zająć się przeszukiwaniem przestrzeni, co tu kryć, wyłącznie w realnym czasie naszych istnień poszczególnych.

Sama czynność nie kryje chyba w sobie żadnych tajemnic. Sięgamy na półkę po książkę, udajemy się do kuchni, by zaparzyć kawę, wychodzimy z domu na spacer do parku, wyjeżdżamy na wycieczkę za miasto, żeglujemy, pływamy, wspinamy się na szczyty, jeździmy na rowerze po okolicy, albo mkniemy samochodem autostradą, by dotrzeć do celu dalekiej podróży wakacyjnej. Możemy, oczywiście, sprawdzić się także w bardziej wymyślnych i niebezpiecznych formach ruchu, z użyciem specjalistycznego sprzętu podwodnego i powietrznego, lub oddać się ciężkim próbom eksploracji dzikiej, niebezpiecznej głuszy. Możemy też wzlecieć w kosmos, z nadzieją powrotu lub wybrać się w nieznaną na wieczną tułaczkę, do kresu życia, być może rychłego. Podróżować potrafimy w kompletnej samotności, choć zapewne częściej czynimy to w dobrym, przyjaznym towarzystwie.

Każda wyprawa jest inna, wszystkie natomiast grupują się w określone klasy podobieństw, zazwyczaj ustalone w przeróżnych klasyfikacjach i typologiach. Łączy je však zarówno uczestnictwo w samym doświadczeniu ruchu, ale przede wszystkim w doświadczeniu wartości świata, przekazanych tylko poprzez ruch podmiotowy, bo tylko on jest zdolny do przenoszenia i umieszczania człowieka w zmiennych warunkach obserwacyjnych.

Wartości, po które sięgamy, czekają na nas. Albo je znamy i cenimy, bo już kiedyś przeżyliśmy i chcemy do nich powrócić. Albo znamy je z przekazu, znaku i zachęty, pragniemy więc urzeczywistnić ich intencjonalną, przedstawioną obecność w naszych konkretnych, bezpośrednich, jak najbardziej rzeczywistych przeżyciach ich równie rzeczywistych nośników. Albo nie znamy

ich wcale, toteż wyłaniają się przed nami niespodziewanie, z pustki niebycia, niewiedzy i niewyobrażenia. Istniały, owszem, gdzieś tam, dalekie, niedostępne, nieobecne, nawet nieprzeczuwane. Wszystkie pojawiają się zaś dlatego, że zdołaliśmy trafić na nie naszym celnym aktem wędrowniczego ruchu. Nie stworzyliśmy ich przecież wcale, tym bardziej „z niczego”, gdyż one istniały na pewno przed nami i przed naszym ku nim dążeniem jako aksjologiczna potencjalność. One czekają w przestrzeni wartości osadzonej w przestrzeni realnej. Czekają, na każdego, kto się do nich zbliży i zakosztuje, spodziewając się sensu, radości i wzmocnienia. Także na tego, kto ryzykuje ich poznanie, być może ambiwalentne lub niebezpieczne w skutkach, a nawet destruktywne, niszczące, choć przecież, w jakimś innym porządku, również godne kontaktu i bliższego poznania, rozszerzając horyzonty i sprawdzając, na przykład, tragizm lub absurd istnienia.

Aby być w tej sprawie jak najbardziej dokładnym: dopóki nieodkryte, nie są jeszcze wartościami, lecz ich zapowiedzią, wartościującą się stopniowo wraz z budowaniem relacji z podmiotem. Poszukiwanie wartości, to w istocie przekształcanie ich uśpionych możliwości, nie przeżywanych, występujących jedynie w postaci obiektywnych cech w walory dla nas, a dla mnie w szczególności.

Każdy punkt, każdy skrawek, każdy fragment przestrzeni jest czymś zajęty, wypełniony, dookreślony jakościowo. Każdy więc może stać się podstawą jakichś wartości, o specjalnych walorach, o przynależności do pewnej dziedziny wartości, o dodatnim, neutralnym lub ujemnym znaku, zarówno pod względem zajmowanej pozycji w strukturze hierarchicznej, jak i niesionych konsekwencjach dla podmiotu ludzkiego. Nasze istnienie jest natomiast zawsze ograniczone, sięgając tylko do pewnego zakresu wartościotwórczych aktualizacji. Wartości nadbudowują się bowiem na tym, co właśnie widzimy, co słyszymy, czego dotykamy i smakujemy, także do tego, co jest nam dane do rozumienia, przemyślenia i odczuwania poprzez zdarzenia, procesy, sytuacje, rzeczy, symbole i twarze. To co jest wokół nas, co jest naszym otoczeniem, środowiskiem, wartościami oddanymi naszemu miejscu w bycie, zapowiada jednak ich przekroczenie innym światem wartości, zakrytych, prawdopodobnych, sugerujących swą szansę jako wartości „jeszcze nie dla nas”

Skoro są one „jeszcze nie dla nas”, niewykluczone, iż stać się mogą „już dla nas” czy „nareszcie dla nas”, oczywiście tylko pod warunkiem naszego wzajemnego spotkania. Sztywna przestrzeń nie chce i nie może się wszelako ku nam nachylić, góra więc nie przyjdzie nigdy do Mahometa. Konieczne staje się wtedy odwrócenie relacji. Wartości rozrzucone w przestrzeni wołają do nas, sugerują swą obecność, oferują pewne lub przypuszczalne zalety i wady, a przynajmniej dają znać o sobie, iż mogą być gdzieś tam, ukryte, nieokreślone w swych cechach, wabiąc nas tym, iż po prostu istnieją i że zapewne są inne, niż to, z czym mamy właśnie do czynienia tu i teraz.

Istnienie, odległość, odmienność, swoistość, to wystarczające powody, aby ruszyć w drogę. Dlaczego szukam? Bo to coś istnieje, ale nie zostało przeze mnie potwierdzone. Bo to jest tak odległe, że nie mogę zwyczajnie, ot tak, sięgnąć wypróbowanym, standardowym aktem biernego doznania, bez wysiłku, bez własnej mobilizacji, bez ruchu. Bo to jest najpewniej inne, niż to z czym mam do czynienia na co dzień. Bo to jest swoiste, ze specjalnymi właściwościami, być może pożądanymi, potrzebnymi, a nawet niezbędnymi.

Negacja bezruchu

Człowiek wędrujący przeciwstawiony jest człowiekowi homeostatycznej nieruchomości w bycie, harmonii ze środowiskiem, szczęśliwie zaadaptowanym do warunków i pogodzonym ze *status quo*. Człowiek przystosowania i stagnacji może być traktowany jako ten, kto po wzburzonych morzach przygód, lęków i zagrożeń dopłynął do swej Itaki i tam postanowił osiąść po trudach podróży. Znieruchomienie i stałość to wybawienie, ucieczka do raj, spełnienie marzeń o prawdziwym, bezpiecznym byciu. Ale może być i tak, że człowiek stagnacji nigdy w ogóle nie został poruszony, toteż przez całe życie tkwił w stałych stosunkach ze światem, nawet nie pojmując, że można istnieć inaczej, niż w ciągłej kontynuacji tego, co jest. Ruch jest niemożliwy, bo jest całkowicie niewyobrażalny. Nigdy nie pojawiła się nawet jego namiastka, zapowiedź, podejrzenie. Nie istniejąc w podmiotowym poznaniu, nie może tym samym stać się przedmiotem przeżyć wartościujących, ani dążeń, ani tęsknoty, ani też odrzucenia.

Jaki jest więc człowiek w swej istocie? Czy jest człowiekiem ruchu, zmierzającym niekiedy do nadzwyczajnego stanu unieruchomienia się w stałości, na przykład jako przerwie w wiecznej podróży życia bądź w jej finale (szczęśliwym, lub przeciwnie, wysoce nieprzyjemnym)? Czy może jednak człowiekiem stanu spoczynku, poruszonym jedynie od czasu do czasu przez siły zewnętrzne, przymus biologiczny, strach, ciekawość, namiętność lub ślepe naśladownictwo, pradawny obyczaj nomadyczny, archetyp epoki półzwierzęcej, instynktownej tułaczki, lecz przecież zawsze gotowym powrócić do Arkadii bezruchu?

Pytania te skierowane są nie tylko do mnie tego oto, tu i teraz, ale i do ciebie, który, być może jesteś zupełnie inny, niż ja. Są to pytania, które przede wszystkim postawić trzeba wielu ludziom, wszystkim, w różnych epokach i układach zależności. Czy możliwa jest jedna odpowiedź, wedle której objawi się jakaś stała właściwość natury ludzkiej (ruchliwość bądź stabilność), albo przynajmniej wspólna tendencja, polegająca na tym, że człowiek zmienia się kierunkowo, z człowieka ruchu w człowieka bezruchu, a może odwrotnie, z człowieka bezruchu w człowieka ruchu przestrzennego? Czy odsłonią nam prawdę pradawne mity, raczej skłonne preferować stany szczęścia stabilnego, nieporuszonego zgoła i niezmiennego, niczym platońskie idee lub biblijny

Eden, niebezpieczeństwo i zagrożenie wiążąc zaś z grzechem niepokoju, wypędzeniem z rajy bezruchu i skazaniem na wieczne szukanie, ratunek utożsamiając jednak znowu z osiągnięciem pełni niewzruszoności?

Z bezruchu wyszedłeś i do bezruchu wrócisz, zdają się mówić anonimowe mądrości proroków i mędrców wielu kultur, światopoglądów, wyznań i systemów filozoficznych. Czy nie mamy tu wszak do czynienia z kategorialną mistyfikacją i przekształceniem zupełnie innych par pojęć, mianowicie bytu i niebytu, rzeczywistości i idei, albo jeszcze dosadniej: życia i śmierci?

Tylko niebyt może trwać w swej nieporuszoności, albowiem nie ma w nim nic zgoła, a skoro nic, to nie może się zmieniać, przenosić, poruszać się, gdyż ewentualny ruch przynależny jest najpewniej tylko bytowi. Jedynie świat realny realizuje heraklitejską i bergsonowską zasadę *panta rhei*, toteż tylko w przestrzeni wiążącej realne obiekty i realne zdarzenia możliwy jest ruch rzeczywisty, w obrębie którego spełniają się rzeczywiste metamorfozy, wyładowania energii oraz wędrówki z miejsca na miejsce. Świat idei, abstraktów, derywatów i wszelakich najwyższych duchów (choć już nie bogów poślednich) jest, może być, a czasem musi być wolny od tych procesów. Tylko więc życie, jakkolwiek by go nie oceniać, staje się esencją zmienności. To zaś, co wyposażone w dostojny, niewzruszony majestat nieruchomości utożsamione zostaje, najpewniej słusznie, z byciem nie-żywym, czyli śmiercią, albo szerzej: wszelkim przed-życiem i po-życiem.

Byt zdolny do wędrówki musi być wyposażony w samodzielną zdolność poruszania się, w sobie samym zawierając energię podróźniczą i jakąś kierunkową, intencjonalną celowość przemieszczeń, rzecz jasna, niekoniecznie świadomą. Pojawia się zatem nareszcie argument biologiczny. Całkowicie niezdolny do ruchu własnego jest przedmiot martwy. Jest, istnieje i pozostaje tam tylko, gdzie zostaje posadowiony mocą sił zewnętrznych, bo tylko w wyniku popchnięcia przez coś innego może z jakimś trudem przesunąć się, a dokładniej: zostać przesuniętym, gdzieś indziej, a także z oporem przyjąć dokonane w nim samej zmiany. Byt pozbawiony życia podlega tedy metafizycznej regule absolutnej inercji. Jest tu, gdzie jest, nie dąży do zmiany i nie chce niczego innego, niż kontynuowanie stanu, w którym się znajduje, jakby się bojąc (jeśliby odczuwał lęk), że jakakolwiek zmiana musi być na gorsze, zagrażając jego byciu jako takiemu.

Wkroczenie w życie oznacza zaś totalną metamorfozę egzystencjalną, a jak się okaże, może mieć konsekwencje także w sferze esencjalności. Życie jest bowiem, po pierwsze, wejściem danego bytu w samodzielność; odtąd musi sam zadbać o swe istnienie. Jest, po drugie, aktywnością; nie można czekać biernie na to, co się zdarzy, ale musi się samemu wywalczyć środki i warunki istnienia. Jest wreszcie, po trzecie, dynamiką; bezruch oznacza poddanie się, słabość, rozkład i śmierć, ruch to właśnie samo życie, walka, zdobywczość, wybór dobrych, i coraz lepszych rozwiązań. Po czwarte, to nie tylko „samo

życie”, ale ruch jest sensem i narzędziem optymalizacji; poszukiwanie polega wszak na dostarczaniu maksimum cennych informacji i najcenniejszej energii. Po piąte, życie jest ekspansją; jeśli czegoś nie ma w pobliżu, trzeba poszukać dalej i szukać aż do skutku. Po szóste, eksploracja stanowi najlepszy sposób wyboru i doboru z całej danej nam przez świat i los oferty; jeżeli nawet nie wiemy, co byłoby dla nas najbardziej odpowiednie, to wystarczy wyruszyć na poszukiwanie wartości, rozszerzyć pole możliwości, a wzrastają szanse na urzeczywistnienie pełni istnienia. Po siódme, w ten właśnie sposób dokonuje się proces podmiotowej samorealizacji, zarówno egzystencjalnej, jak i esencjalnej; ta ostatnia polega wtedy na wytworzeniu dyspozycji wedle najrozsądniejszych i najciekawszych zamówień, zgłaszanych sukcesywnie podczas życiowej wędrówki.

Tak więc bezruch, okazując się zaprzeczeniem życia, zostaje przez to życie zanegowany i przewyciężony. Czyż warto bowiem trwać w wegetacyjnym półistnieniu, korzeniami wrastając w jeden skrawek świata, a bojąc się zmierzyć z bezkresem wartości, upierać się jeszcze, że życie rośliny też jest życiem, a nawet życiem szlachetniejszym, bo wiernym placówce? Dlaczego, zamiast na dobre rozwinąć skrzydła, decydujemy zwinąć się w sobie, pomniejszyć, przycupnąć jak wystraszony szarak pod miedzą, schować w norę stabilizacji, przypisać się, niczym niewolnik, niczym chłop pańszczyźniany tylko do jednego punktu na ziemi i nawet na jeden dzień, tydzień i miesiąc nie opuścić go, bez poczucia zdrady? Jeśli nie przemawiają żadne racje, to może chodzi po prostu o brak odwagi, o brak wyobraźni, o niezbyt wielkie wymagania stawiane swemu życiu, o niezakłócone żadnym wyzwaniem dobre samopoczucie gospodarza wsi spokojnej, wsi wesołej, za której granicą cała reszta świata, to ciemność niepewności, ryzyko i niebezpieczeństwo zbyt wygórowanych wymagań?

Doświadczenie mówi, że te właśnie dylematy powodują rozdzielenie się ludzkich dróg. Jedni zostają na miejscu, a broniąc racji i godności człowieka bezruchu, wrastają w miejscową glebę i zapuszczają korzenie, niczym dęby tysiącletnie. Inni natomiast, we własnym i ogólnym imieniu, podejmują się dzieła penetracji bytu, trudu przekraczania granic i ryzyka szukania czegoś nowego, lepszego lub odmiennego (co się wszak pokaże dopiero po wyprawie, a nigdy przed nią).

Geometria wędrówki

Nietrudno wykreślić linie poszczególnych tras. Każda podróż wpisuje się w strukturę przestrzeni swoim własnym torem. Wiele podróży jest wszakże podobnych: odbywanych razem z innymi, albo po śladach poprzedników. Obok tych tłumnie wydeptanych ścieżek, istnieją jednak swoiste, oryginalne, nie do podrobienia, choć często przez przypadek, a może też z rozmysłem, lub

nawet z premedytacją. Te ostatnie wyprawy przypisane są pojedynczym odkrywcom, indywidualistom i szaleńcom, których niebezpiecznych, dziwnych i irracjonalnych wyczynów nikt nie mógł lub nie chciał powtórzyć.

Każda wędrówka ma swój początek. Jest to akurat jedna, pewna i wspólna własność wszystkich przemieszczeń, że mianowicie zawsze kiedyś i gdzieś się zaczynają. Ten czasoprzestrzenny układ odniesienia oznacza tyle przy najmniej, ile się zdarza w typowym, szkolnym zadaniu: oto w pewnej chwili danego dnia i roku, z określonego miejsca p, czyli początku podróży, wyrusza człowiek lub gromada ludzi. Wyrusza, oczywiście, w jakimś kierunku i w jakimś tempie, choć te akurat informacje potrzebne są wyłącznie do sprawdzenia przebiegu dalszego ciągu wyprawy, zwłaszcza interesującej skąd inąd kwestii celu, a być może także fabuły kolejnych wydarzeń (na przykład powrotu, lub przedsięwzięcia dalszej drogi). Ważne jest to na razie, że właśnie rozpoczął się dany proces wędrówki, mógł zaś się zacząć wtedy i tylko wtedy, kiedy podmiot, który tkwił dotąd w punkcie startowym, wprowadził siebie w ruch, względnie przekształcił własny ruch wcześniejszy, aktem nowego, realnego ukierunkowania, w jakiś inny proces celowościowo odrębnej podróży.

Z punktu startowego zaczyna się i wiedzie dokądś trasa podróży, pokonywana w pewnym czasie, w jakimś rytmie i prędkości, z całą dramaturgią wydarzeń towarzyszących, zwieńczoną określonym finałem. Realizacji dostępują różne odmiany możliwych przebiegów, wyznaczone przez ogół czynników kształtujących formę trasy: miejsce startu, kierunek, cel, a przede wszystkim wolę wędrującego podmiotu. Rozmaitość modeli nie jest wszelako zupełnie dowolna, podlegają bowiem one zawsze ograniczającym je prawom, które nazwać można zasadami geometrii podróży. Wyznaczają one obszar możliwych tras, ale też determinują ich przebieg, wykluczając to, co jest niemożliwe. Podróże wpisują się w strukturę liniowej ciągłości, nie mogą natomiast realizować się w żaden inny sposób, na przykład przeskakiwać z punktu do punktu, przenosić z nagłą na inne płaszczyzny, zanikać i odradzać się z niczego. Podróż musi stworzyć warunki do realnych przemieszczeń bytów psychofizycznych, a nie da się tego uczynić inaczej, niż podług tego, co wyznaczają ogólne zasady.

W pierwszym rzędzie chodzi właśnie o określenie roli owego wyróżnionego punktu początkowego. Czy jest on wyłącznie realnym i umownym świadkiem honorowego startu danej wyprawy, czy też może odegrać jeszcze jakąś inną, a istotną rolę w jej konstrukcji? To, co nazywamy „początkiem”, jest przecież faktycznie specjalnym miejscem w czasoprzestrzeni, ale tylko ze względu na specyfikę, a może wręcz absolutną wyjątkowość sposobu przynależności do procesu wędrówki. Ona sama bowiem okazuje się zależna od przekreślenia i porzucenia swego stanu wyjściowego. Początek jest po to tylko, aby przestać być zaraz, natychmiast, gdy tylko zacznie się właściwy przebieg danych dziejów. Początek znika natychmiast po rozpoczęciu procesu;

należąc doń, równocześnie zdaje się być przed nim i tym samym całkowicie poza nim, poza jego strukturą. Początek to stan, w którym jeszcze nie wyruszyliśmy, lecz właśnie do tego kroku już, już się zbieramy, zarazem jednak jest to moment zachodzącej pierwszej zmiany, czyli przekroczenia granicy stabilności podmiotu, z tuż następującym aktem wprawienia w ruch.

Co się jednak dzieje z początkiem, ujętym nie jako punkt czasoprzestrzenny (dzięki czasowości, bezwzględnie niepowtarzalny), lecz czysto przestrzenny, geometryczny, rozumiany po prostu, jako realne miejsce w świecie, to mianowicie, z którego rozpoczynamy podróż. Czy ten początek znika na zawsze, czy też ma szansę pojawić się przynajmniej jeszcze raz? Odpowiedź na to pytanie odwołuje się tym samym do różnych modeli wędrowania, a tym samym do konstruowania swoistych odniesień do świata. Mamy więc do czynienia z wzorcem podróży esencjalnie bezpowrotnej, kiedy to początek nigdy nie pojawia się drugi raz. Mamy jednak podróże powrotne, w dwóch *nota bene* wariantach: jednopowrotnym i wielopowrotnym, gdy punkt startowy w pierwszym staje się tożsamy z rzeczywistym końcem wędrówki, albo też, jak w drugim przypadku, końcem pewnej tury i początkiem następnej.

Jeden model przekreśla z absolutną pewnością szanse ponownej obecności miejsca opuszczonego wcześniej przez wędrowca. To podróż po półprostej. Przebiega ona w ten sposób, iż wyruszając z danego punktu, systematycznie się od niego oddalamy, tak, aby nigdy doń nie wrócić. W wędrówce tej możliwe jest jedynie permanentne dalej i dalej, zaś trasa stałego zwiększania dystansu *a priori* wyklucza zdolność do korekty lub pojawienie się przypadkowej anomalii, powodującej, na przykład, zatoczenie łuku i powrót na punkt startowy. Niemożliwe jest też w tym przypadku dokonanie poprawki na drodze zmiany intencji; nawet wówczas, kiedy bardzo chcemy powrócić tam, skąd wyszliśmy. Okazuje się, iż nie wystarczy jedynie mocno chcieć, ponieważ sama trajektoria toru, po półprostej właśnie, przesądza definitywnie o całym przebiegu podróży.

Na marginesie trzeba zauważyć, iż istnieje też drugi, oczywisty powód podróży bezpowrotnej. Wynika on z całkiem pozawędrowniczych, mianowicie generalnych reguł ontologicznych. Chodzi, mianowicie, o konsekwencje faktu bezwzględnego zniknięcia podmiotu podróży w czasie jej trwania. Czynność jest ontologicznie wykluczona, jeśli nie ma jej podmiotu. Nawet zwykłe wyjście do pracy, z niewzruszonym zamiarem powrotu do domu na obiad może zakończyć się niepowodzeniem. Tak samo z niemożnością powrotu z urlopu, z wyprawy do amazońskiej dżungli, z wspinaczki na szczyt himalajski, czy z ekskursji na Marsa. Dzieje się więc tak zawsze wtedy, kiedy człowiek albo jeszcze po drodze, albo już w miejscu docelowym, albo w czasie powrotu dozna skrajnie tragicznego przełomu egzystencjalnego (czyli przejścia w stan niebycia). Wyruszając z pewnego miejsca w drogę, wędrowiec nie może doświadczyć ponownie punktu startowego.

Każdy inny wzorzec stwarza odpowiednie szanse na ponowne pojawienie się tam, skąd wyszliśmy. Najbardziej charakterystyczne schematy tworzą dwa układy: odcinkowy, czyli „tam i z powrotem” oraz kołowy, gdzie żaden punkt wędrówki nie może się powtórzyć, z wyjątkiem jednego, który jest zarazem początkiem i końcem drogi.

Charakterystyczną cechą obydwu jest zdecydowane wyróżnienie jednego miejsca w świecie, jako bezwzględного układu odniesienia dla ruchu podmiotowego. Podróż oznacza opuszczenie stałej siedziby, wejście zaś w stan przejściowy i tymczasowy, w czasie którego przechodzimy śpiesznie poprzez inne miejsca w przestrzeni, żadnego jednak nie traktując jako stabilizacyjnej, bazowej konkurencji. Zakończenie wędrówki równoznaczne jest nie tylko z powrotem do miejsca startu, lecz również z potwierdzeniem jego wyjątkowej rangi w akcie powrotu właśnie. Różnica między „odcinkowym” a „kołowym” wzorcem trasy zasadza się jedynie na różnym stosunku do jej powtarzalności. Droga „tam i z powrotem”, choć niewątpliwie jakościowo różna dla niektórych form ruchu, na przykład wyjścia na szczyt i zejścia zeń po śladach, polega na podwojeniu obecności podróżnika w każdym z punktów, z wyjątkiem docelowego, rzecz jasna. Droga „po kole” (lub innych, zbliżonych kształtem figurach) zakłada natomiast radykalną niepowtarzalność wszystkich odwiedzanych miejsc. Duplikacji podlega tylko jeden punkt, docelowy, który, powtórzmy, był zarazem punktem startu.

Idealne wzorce „czystej podróży”, odcinkowy i kołowy, uzupełnione być mogą długą listą rozmaitych, ewentualnych ich połączeń, tworzących przeróżne zygzakowate kombinacje, gdzie drogę w jedną stronę (w postaci odcinka lub półłuku) przecinają, jedno- lub wielokrotnie, odpowiednie punkty drogi powrotnej. W ten sposób część podróży odbywamy wyłącznie jednorazowo, część zaś poprzez powtórzenia punktów lub odcinków trasy uprzednio przebytej.

Wśród modeli specjalnej rangi, niektóre doczekały się własnych interpretacji w kulturze: w legendach, mitach, w religijnej symbolice, a nawet w pojęciach ekscentrycznych prądów filozoficznych. Nawiązują one do idei wędrówki bez powrotu, acz bynajmniej nie w wydaniu modelu półprostej, ewokującego przestrzenną nieskończoność drogi do nikąd, lecz w ujęciu swoistej epistemicznej dezorientacji podmiotowej. Dotyczy to w pierwszym rzędzie wędrówki przez Labirynt, czyli drogi bez wyjścia, gdzie przeciw faktum wiecznego błądzenia pojawia się jedno jedyne pozytywne rozwiązanie, czyli odtworzenie schematu wejścia w symetrycznym doń schemacie wyjścia (co udało się, jak wiadomo, wyłącznie Tezeuszowi, dzięki nici pomysłowej Ariadny). W pewnym szczególnym sensie dotyczy to także drogi pozornych powtórzeń w obrębie ruchu spiralnego (decentrycznego lub koncentrycznego), obecnego w koncepcji buddyjskiej Mandali. Wydaje się nam, iż kręcimy się stale w koło, lecz w istocie poruszamy się w nieskończoność, bądź wedle

reguły rozwijającej się maksymalizacji odległości od początkowego „środka”, bądź też podążając tropem jej minimalizacji i zwiijając się ku coraz mniejszym odstępom od finalnego, acz nieosiągalnego centrum.

Warto dopowiedzieć, iż wzorce geometryczne, wykorzystujące doświadczenie ruchu płaszczyznowego, najczęstsze wszak w praktyce pieszej praturystyki, uzupełnione być mogą schematami stereometrycznymi. Dominują tutaj struktury powietrznych wzlotów, lotów i upadków, a także zejścia w dół, ku tajemniczym światom podziemnym lub wszelkim innym podpowierzchniowym przestrzeniom, przepaściom i czeluściom, wypełnionym żywiołami wody, ognia lub powietrza.

Dawnym wyobrażeniom i marzeniom odpowiadają, oczywiście, wędrówki rzeczywiste, odbywane sukcesywnie w dziejach przez podróżujących ludzi, od zarania aż po dzień dzisiejszy. Nie ma chyba ani jednego teoretycznego modelu, który nie zostałby, choćby w przybliżeniu, wypróbowany w eksploracyjnych akcjach dzielnych wędrowców, wspomaganych środkami turystycznej techniki. W teoretycznych modelach podróży, zdominowanych w zasadzie przez klasyczny, newtonowski obraz nieruchomej przestrzeni, wykorzystywanej do czasowo określonego ruchu obiektów, pojawiały się jednak stopniowo uzupełnienia i modyfikacje, nawiązujące do odkryć fizyki relatywistycznej, tudzież różnych, nowych pomysłów kosmologicznych, a także, po prostu do fantazji artystycznej. Przyziemny realizm i powściągliwości przestają być cnotą, co przekłada się na stopniowe przeobrażanie intencjonalnych projektów w niezwykle osiągnięcia, głównie w zakresie technologii (przykładem głównym są rozpoczęte na początku drugiej połowy XX wieku podróże kosmiczne). Dynamizacji, w tym też i „ewolucji twórczej” podlega przede wszystkim sama przestrzeń, pojęta jako zbiór możliwych dróg, a która może generować własny ruch, automatycznie obejmujący wszystko, w tym obecnych w jego zasięgu ludzi. Stało się zarazem możliwe, na razie teoretycznie, odbywanie podróży w czasie. Ich strukturę i dramatyzm wyraża prosty schemat niemożliwości powrotu z podróży do gwiazd z wcześniej niepojętego powodu, iż astronauta, żyjący własnym rytmem podróżniczym, rozmija się radykalnie z przebiegiem spraw w świecie, który kiedyś opuścił, a którego w pewnej chwili w ogóle już nie ma, na pewno nie ma zaś dla niego, przybysza z innego wymiaru rzeczywistości.

Ten relatywistyczny aspekt bytowania człowieka w zmiennym świecie wyznaczony był uprzednio przez mit dzieciństwa, do którego próbujemy powrócić po latach wędrówki przez życie. Okazuje się, że nie ma już tamtego domu, ani ulicy, nie ma ludzi, którzy nas wtedy otaczali, nawet nie ma mnie, konkretnego podmiotu ludzkiego z tamtych czasów. Istnieje tylko abstrakcyjny punkt na mapie, sporządzonej według, niezmiennych, jak na razie, reguł kartograficznych, na który pragniemy usilnie nałożyć jakieś obrazy z różnych etapów naszego życia, powiązanych regulatywną ideą bytowej tożsamości.

Podróże w głąb przeszłości rozgrywamy albo w czystej wyobraźni, albo też z udziałem realnej przestrzeni oraz jak najbardziej autentycznych rekwizytów, pełniących rolę łączników między dziś i wczoraj, a nawet swoistych, niezawodnych wehikułów czasu

Quo vadis, homine?

Była wcześniej mowa o „wezwanie przez wartości” oraz przekreśleniu tych, których doświadczamy tu i teraz, w danej nam obecnie we władanie części rzeczywistości. Pytanie o cel podróży skłania nas wszelako do przybliżenia sensu wyłaniającego się „tam i potem” Problem „dokąd”? zbiegnie się tedy z rozstrzygnięciem kwestii „którędy”? i „jak”?, zaś „potem” z określeniem szans w obrębie „kiedy”?

Na każde z tych pytań wolno, rzecz jasna odpowiedzieć „nie wiem” Jest to ten przywilej bycia w stosunku do poznania, że coś może istnieć, trwać lub dziać się, nie ma zaś nikogo, kto potrafi ten stan czy proces uchwycić swą pojmującą, przytomną świadomością. W skrajnym przypadku mogę gdzieś realnie podążać, nie mieć natomiast żadnej wiedzy na ten temat, mimo, że faktycznie idąc wyznaczam przecież, mimowiednie, jakiś kierunek marszu, a nawet jakiś punkt docelowy. W przeciwieństwie do znanej tezy Berkeleyya i wszystkich jego kontynuatorów (przeważających we współczesnym, krypto-idealistycznym empiryzmie), że „istnieć to tyle, co być postrzeganym”, wypada z naciskiem stwierdzić, iż cel danej, mojej wędrówki, tej, tamtej lub nawet każdej, posiada swą realną egzystencję, jest więc niezależny od aktu poznania, co więcej, wyprzedza go, umożliwiając jego pojawienie się w świadomości. Jeśli czegoś nie ma, nie może być tym samym odkryte i poznane (chyba, że utworzymy to sobie dla potrzeb danego aktu, kreując przedmiot w chwili jego transcendentalnej aktualizacji).

Co to oznacza w prostszym języku? To mianowicie, że mam prawo rzec, iż nie wiem, gdzie idę, bo naprawdę nie wiem, ale nie znaczy to bynajmniej, że idę „nigdzie”, „w żaden sposób” i „żadną drogą” Mogę przecież coś czynić, nie zdając sobie w pełni sprawy (a czasem w ogóle), z tego, co robię, w jakim celu i co z tego musi wynikać. Cel nie jest wszak produktem intencjonalnej myśli, lecz stanem lub miejscem, do którego, wiedząc lub nie wiedząc, obiektywnie zmierzam i które ostatecznie uda mi się osiągnąć.

Naprawdę podążam bowiem ku danemu celowi niezależnie od faktu, czy jawi mi się on w wyrazistych konturach, w pełni swych właściwości i w odpowiednim do jego natury porządku kategoryalnym, czy też stanowi on dla mnie wielką niewiadomą, tudzież niejasność, niepewność i pomrocność. Ta niewiadoma może być wypełniana przeze mnie jakimiś mglistymi wyobrażeniami li-tylko, jakimiś założeniami oraz materią życzeń lub obaw, nigdy zaś faktycznym, empirycznie udokumentowanym, jakościowym wypełnieniem jego kon-

strukcji, nie odkrytej wszak jeszcze przed końcem podróży. Wszystkie drogi prowadzą pono do Rzymu, toteż tysiące wędrowców naprawdę tam zmierzało, aczkolwiek mało kto podczas pierwszej wyprawy wiedział, co to w ogóle znaczy „Rzym”, a zwłaszcza na czym polega „być w Rzymie”. A przecież ogromne rzesze naprawdę kierowały się tam, gdzie oczy, rozum i serce niosły; każdy zmierzał z nadzieją do swej Ziemi Obiecanej, do Itaki i Mekki, ku wielkiemu stepowi, bogatej prerii i gościnnym dolinom. Wielcy i pomniejsi odkrywcy, globtroterzy, włóczędzy oraz liczni poszukiwacze przygód jechali, płynęli, lub maszerowali żwawo przed siebie, z reguły nie wiedząc wszak dokładnie dokąd podążają (bo niby skąd to mieli wiedzieć?). Co więcej, nie przeczuwali zazwyczaj, iż nadane *ad hoc* nazwy poszczególnym punktom w przestrzeni, staną się obowiązującymi znakami w kulturze uniwersalnej. Nie tylko samo odkrycie nieznanego, lecz uczynienie nie nazwanego nazwanym, a tym samym nie swojego przyswojonym, stanowi właściwy akt rozjaśnienia obrazu, a być może, po prostu ostatecznym, pojęciowym jego uformowaniem, czyli umieszczeniem w świecie ludzkiego porządku.

Wymownym przykładem skomplikowanej natury tego procesu stał się bodaj najbardziej spektakularny przypadek rozziewu między świadomością celu a rzeczywistym jego spełnieniem, związany mianowicie ze słynną pomyłką Krzysztofa Kolumba. Przyjął on za dobrą monetę bezwzględność rangi noszonego pod sercem pragnienia dotarcia do Indii lepszą i bezpieczniejszą drogą, wierząc potem pono święcie, i do końca, iż zamysł mu się udał. W jaki jednak sposób można rozsuptać ów węzeł sprzeczności między celem wyobrażonym a celem realnym, skoro nie muszą one wcale pokrywać się sensem i zakresem? Czy wolno wyprowadzić z przygody Kolumba wnioski, iż nigdy nie dotarł on, jako człowiek świadomy, na amerykański kontynent (dokładniej: na jedną z wysp przyległych), o którego istnieniu nic przecie wcześniej nie wiedział, albowiem żaden nieznaną „Nowy Świat” nie był w jego umyśle oczekiwanym portem końcowym? Jeśliby przystać na taką, subiektywnie-finalistyczną interpretację otrzymalibyśmy w konsekwencji pogląd jawnie absurdalny, *nota bene* zmuszający nas do rewizji historii odkryć geograficznych.

Aby nie dać się ponieść fantazji, wystarczy uznać tymczasem właśnie istnienie owych dwóch rodzajów celów. Jeden, bezwarunkowo konieczny, to realny kres podróży, drugi, tylko pożądanym, acz niekoniecznym, to intencjonalny przedmiot subiektywnego planu. Niekiedy obydwie pokrywają się z sobą, wtedy mianowicie, gdy docieramy faktycznie tam, gdzie uprzednio to sobie zaplanowaliśmy. Innym razem obydwie cele biegną wszakże niezależnymi drogami. Dzieje się tak wówczas, kiedy wyznaczamy w naszych projektach inne miejsce dotarcia, niż zdarza się to rzeczywiście. W dwojakim zresztą znaczeniu. Po pierwsze, znajdujemy się zgoła gdzie indziej, w odmiennych obiektywnie i różnych fizykalnych parametrach, niż się uprzednio pragnęło; zamiast nad brzeg ciepłego morza, powiedzmy, docieramy do zbocza śnieżnej

góry, nadto w innej części świata, albo zamiast w Rzymie, znajdujemy się na Krymie. Możliwość druga polega zaś na tym, że dochodzimy co prawda do zaplanowanego miejsca, oznaczonego na mapie (spełniając zatem wymóg celowości parametrycznej), lecz okazuje się ono diametralnie różne w swych jakościach od oczekiwanych; jesteśmy tedy dokładnie w tym miejscu, o które nam szło, ale w zupełnie nie takim, jakim go sobie przedstawialiśmy. Miało być pięknie, czysto i zielono, jest zaś szpetota, tandeta i góry śmieci. Albo, okolica zapowiadała się na spokojną i bezpieczną, wypełniają ją zaś ryki, wrzaski oraz tumult bandyckich ekscesów. W pierwszym przypadku doszło do błędu w marszrucie, czyli w słabym rozpoznaniu środków prowadzących do celu. W drugim, do poddania się ciśnieniu myślenia życzeniowego, z istoty antyrealistycznego.

Zupełnie inaczej kształtuje się scenariusz podróży, poddany prawu „wyprzedzania działania przez poznanie” W obrębie obszaru ludzkich podróży chodzi o taką jego konkretyzację, kiedy to podmiot wędrujący wie gdzie idzie, po pierwsze. Po drugie, wie czym jest i jakie jest miejsce, do którego zdąża. Po trzecie, potrafi cel ten osiągnąć w rzeczywistości. Obok wędrówek w nieznanne, mamy więc długi zestaw różnych rodzajów podróży z mniej lub bardziej jasno określonym celem, a także zapewne z równie wyraźnie zarysowaną charakterystyką drogi i sposobów jej pokonywania. Na pytanie „dokąd idziesz”? potrafimy odpowiedzieć wprost, wskazując na dane miejsce w przestrzeni („tutaj oto”), ponadto umiemy podać jego jakościowe właściwości i nasycając przedstawiony cel podróży co najmniej uschematyzowanymi wyglądami jego intencjonalnego przedmiotu.

Jeśli powiadam: „wybieram się do Paryża”, to znaczy, że wiem gdzie jadę, wiem w którym kierunku będę podążał, aby znaleźć się w stolicy Francji, wiem też z grubsza, czym jest Paryż (nawet jeśli w nim fizycznie jeszcze nie byłem). Wiem również to, że Paryż nie jest fantomem, fikcją literackich przewodników, wymysłem rzekomych bywalców. Myśl o celu odwiedzin poprzedzona jest mocnym sądem egzystencjalnym, głoszącym, iż Paryż istnieje realnie. Oznacza to, iż ja sam, jako byt realny, mam szansę znaleźć się w Paryżu, co byłoby, oczywiście wykluczone w przypadku wyznaczenia celu tylko intencjonalnego, spoza rzeczywistości, choćby nawet był on obdarzony wszystkimi innymi przymiotami (niczym nieistniejący już Babilon lub wymyślona kraina krasnoludków). Realna jest, rzecz jasna, także każda z dróg do Paryża, zaczynająca się w wielu możliwych punktach startu, acz zarazem przebiegająca w rozmaicie skonkretyzowany sposób (nie wspominając o użyciu różnych środków transportu).

Dodać trzeba również silną charakterystykę istotową, wskazującą na to przede wszystkim, że Paryż jest miastem, że jest miastem wielkim, że jest miastem pełnym uroku, niepospolitych zabytków i nowoczesnych budowli (tam mieszczą się, na przykład, Notre-Dame, wieża Eiffla, muzeum Louvre,

Monmartre, Pola Elizejskie, Centrum Pompidou etc.). Empirycznie dany w dzisiejszej teraźniejszości mieszkańców i przybyszów, zawiera w sobie ta sławna francuska metropolia obecność własnej historii, wpisanej w trwałe pomniki architektury, tradycję i wiedzę o Paryżu sprzed lat i wieków.

Podróż poprzedzona plastyczną i pełną znaczeń wizją celu stanowi realizację projektu, który, na to wygląda, musiał być uformowany w naszych umysłach wcześniej, niż się zaczęła i nim dobiegła kresu dana wędrówka. Jakże objaśnić tę zadziwiającą sytuację? Nie idzie tu zapewne o problem ontologiczny, czyli o kwestię, jak jest możliwe istnienie Paryża, zanim tam nie dotrzemy z naszym podmiotowym doświadczeniem. Turystyka nie wydaje się zgoła racjonalnym zajęciem dla kogoś, kto staje na gruncie idealizmu (transcendentalnego, a tym bardziej immanentnego). Problem polega wszakże na kłopotcie raczej epistemologicznym, zawierającym się w pytaniu: jak wyjaśnić posiadanie jakiejś wiedzy na temat Paryża, bez uprzedniego tam pobytu? Pytamy tedy zarazem: jak cokolwiek wiedzieć, nie doświadczając niczego? Platon odwoływał się do przedwiedzy zdobywanej przez duszę podczas pobytu w sferze idei, nie godzi się jednak chyba przenosić tego pomysłu na teren empirycznie, mimo wszystko, zorientowanej teorii podróżowania (mimo zachęt płynących ze strony późnych kontynuatorów wielkiego Ateńczyka, apriorystów i natywistów różnych szkół i orientacji). Czyż można bowiem wybrać się na serio do Paryża, Krakowa, nad Adriatyk czy w Alpy szwajcarskie, nie wiedząc, gdzie się jedzie (a więc czym jest to coś, dokąd zmierzamy). Oto jest pytanie, stawiające trudność zasadniczą nie tylko przed podróżnikiem, ale przed każdym poszukującym wszelkiej odpowiedzi podmiotem. Z drugiej jednak strony, jakżeż można cokolwiek wiedzieć, gdzie się zmierza, nie mając jakiejś przedempirycznej wiedzy na temat celu swej podróży?

Episteme kierunku i celu wędrówki przebiega na różnych poziomach, z rozmaitym położeniem na drabinie wiarygodności i pewności. Najniższy szczebel, to na pewno podróż w nieznane. Najwyższy, to rychły powrót w miejsce uprzednio poznane, bezpośrednio, dokładnie i rzetelnie. Nie są to z pewnością ekstrema absolutnej niewiedzy i wiedzy, bo takich stopni poznania nie ma w zasięgu ludzkim (lub w ogóle niczym innym), lecz raczej względne punkty odniesienia. Podróż w nieznane zawiera w sobie przecież jakiś zarys pozytywności: przynajmniej świadomość kierunku ruchu, wiedzę o aktualnym „tutaj” oraz zdolność przeniesienia jej na dowolne lub wybrane „tam”, nadto poczucie własnych potrzeb i możliwości, pozwalające zatrzymać się w wybranym punkcie jako optimum samowiednego spełnienia. To co „nieznane”, okazuje się w praktyce choć trochę znane, a to wystarcza dla zakreślenia konturu celu podróży, potem zaś wypełnienia go treściami bardziej detalicznymi.

Odwrotnie rzecz się ma z celem znanym, zda się, doskonale z poprzednich pobytów w danym miejscu. Czy naprawdę jednak udało nam się poznać

dosłownie wszystko, nawet z niewielkiego wycinka świata? O niczym nie da się wszak rzec, iż zostało poznane do końca, bez reszty, toteż każdy fragment przestrzeni, nawet taki, do którego wciąż i wciąż bezustannie powracamy, objawia nam ciągle nowe własności, albo z tamtych, wcześniejszych, nie odsłoniętych jeszcze wtedy przed nami, albo zupełnie nowych, powstałych w trakcie naszej nieobecności (niechby i najkrótszej).

Najciekawszy i najbardziej kontrowersyjny obszar budowania lub też wypełniania świadomości celowej rozciąga się pomiędzy wymienionymi skrajnościami. Wypełniają go rozwiązania mieszczące się gdzieś pośrodku pewności i niepewności, bezpośredniości i zapośredniczenia w wiedzy cudzej oraz nabytej, naoczności i konstrukcyjności pojęciowo-wyobraźniowej, umiejętności podążania śladem przewodników, ale i samodzielnością własnego szlaku. Dodajmy do tego odwagę podejmowanego ryzyka, przeciwstawioną ostrożności i kunktatorstwu, racjonalizm i szaleństwo podróźnicze, a otrzymamy w miarę wyrazisty zestaw możliwych strategii tworzenia odpowiedzi na postawione pytanie „Quo vadis, homine”? Podążamy na ogół tam, gdzie kieruje nas w miarę rozumna, podmiotowa decyzja, albo też zaufanie do trafności wyboru dokonanego przez innych, z którymi lub za którymi kroczymy. „Na ogół”, to jednak nie znaczy bynajmniej, iż zawsze i wszędzie; zdarzają się przecież błędy i pomyłki, czasem w skutkach tragiczne, za które płacimy cenę najwyższą.

Podróż bywa również efektem wiedzy wspólnej, a więc nie indywidualnego, lecz zbiorowego wyznaczenia celu. Idziemy gdzieś tam, bo byli już tam inni i zachęcili następnych do wejścia na przetartą drogę. Układając plany podróży sięgamy wtedy chętnie do map, przewodników i pamiętników, a w najprostszych przypadkach, po listy ofert turystycznych w odpowiednich instytucjach usługowych. Podążamy tam, gdzie wszyscy byli, ale ja jeszcze nie, albo ja też już odwiedziłem dane miejsce, lecz pragnę ponowić to doświadczenie. Bywają jednak zupełnie przeciwne powody. Idziemy mianowicie tam również dlatego, że inni wcześniej próbowali, a nie doszli, pozostawiając nam w spadku zadanie do wykonania, rozpoczęte jakby, lecz nie dokończone. Cel zostaje nam przekazany jako zobowiązanie lub wyzwanie losu, zwykle z wątkiem solidarności międzyludzkiej. Motyw ten, jak wiadomo, dominował często w heroicznym wyprawach wysokogórskich, zdobywaniu głębin oceanicznych albo w samotnych rejsach żeglarskich.

To co nazywamy celem podróży okazywało się efektem zbiorowego i wielopokoleniowego kształtowania wyobraźni, przede wszystkim zaś sensu powinności wędrowniczej, gdzie każdy z osobna, ale i wszyscy razem wzniesiśmy, jako ludzie, ciekawość kresu, obraz mety, na pewno zaś poczucie uczestnictwa w jakiejś gatunkowej sztafecie zadań, trenującej z zapalem uniwersalny proces przejścia i dojścia. Stąd – tam.